ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. **niedziela 8 kwietnia 1934 r.** **Nr. 15**

Zdzisław Broncel

„Wspomnienia" Józefa Conrada

„Wspomnienia Conrada ukazały się nakładem Domu Książki Polskiej p. t. „Ze wspomnień", jako XV tom pism Conrada, w świetnym przekładzie A. Zagórskiej.

Książkę tę napisał Conrad w latach 1908—9 w Someries (Kent), w r. 1912 ukazała się p. t. „Some Reminiscences" w Londynie, a równocześnie w New - Yorku p. t. „A Personel Record". Ten ostatni tytuł został przyjęty przez autora dla wszystkich następnych wydań.

Fotografij do tego artykułu użyczyła nam łaskawie p. Zagórska.

„Wiem — pisze Conrad w przedmowie do tomu swoich wspomnień — że powieściopisarz żyje w swem dziele. Tkwi w niem, jako jedyna rzeczywistość wymyślonego świata, wśród urojonych rzeczy, wydarzeń i ludzi. Pisząc o nich, pisze jedynie o samym sobie. Ale to uzewnętrznienie się nie jest zupełne. Pisarz pozostaje do pewnego stopnia poza zasłoną, obecność jego jest raczej przeczuwana, niż oczywista — niby ruchy i głos dochodzące zza ekranu powieści".

We wspomnieniach, w bezpośrednich wyznaniach, gdy autor opowiada sam o sobie, nie osłaniając nic formą powieści, lecz mówiąc wyraźnie — oto ja tak, a tak postąpiłem — zasłona ulega rozdarciu. Stajemy oko w oko z człowiekiem, którego przeczuwaliśmy, czytając jego książki, i z którego portretu usiłowaliśmy odgadnąć jego ludzką codzienność, ukrytą poza patetyczną maską pisarza.

Conrad rozumie, że napisanie tomu wspomnień rozedrze ową zasłonę. Zapowiada szczerość i bezpośredniość. A jednak zasłona zostaje po dawnemu zasłoną. Wspomnienia Conrada są przedewszystkiem dziełem literackiem, a nie dokumentem, paszportem pisarza, a nie paszportem człowieka. Właściwie powstała nowa „Opowieść niepokojąca", której bohaterem jest sam Conrad, nazwany po imieniu.

Jest to ciekawe zjawisko. Wierząc słowom przedmowy, trzeba wierzyć, że Conrad zamierzał dać czyste tworzywo wspomnień, materjał minionych lat — dał zaś znów — obraz swej wyobraźni. Nie wywoływał cieniów zmarłych, nie przypominał sobie do-



Oswalds, siedziba wiejska, gdzie Conrad mieszkał przez kilka ostatnich lat życia i gdzie umarł.

kładnie kiedy i jak coś się zdarzyło, pozwolił tylko mówić przeszłości nieułożonej ani w chronologję wspomnień, ani nie ujętej w kompozycję powieści. Dokonał jakgdyby pewnego wewnętrznego rozdwojenia: jeden Conrad oddał się swobodnemu biegowi myśli, przeżywał idąc śladem najrozmaitszych skojarzeń, swoje wędrówki do Anglji, do Afryki, na archipelag malajski, drugi — patrzył na pierwszego i opisywał to, czego wśród wspomnień doznawał tamten. Istotą tego rozdwojenia jest, że Conrad patrzył na wspomnienia, jak na fakty opowiedziane przez kogoś obcego i wolny od sentymentów, analizował je, doszukiwał się głębszego znaczenia, opatrywał uwagami (stąd tyle dygresyj!) i wreszcie wiązał w uświadomioną całość literacką.

Gdy Conrad opowiada o swem pierwszem spotkaniu z Almayerem, bohaterem pierwszej jego książki, to nie jest to produkt pamięci, ale produkt wyobraźni. Conrad nie przypomina sobie — lecz widzi na nowo. To, co podsuwa mu pamięć, bierze jako materjał do zbudowania nowego, oryginalnego obrazu. Posługuje się efektami pisarskiemi, zmienia ton, oddycha znów atmosferą „Szaleństwa Almayera". Gdy opisuje egzamin morski, to znów tworzy oryginalną scenę, a nic tylko odblask przeszłości.

Wszystko to sprawia, że „Wspomnienia" mają szczególny urok. Coś, jakby zbiór powieściowych fragmentów, powiązanych krytyczno-literacką dygresją. Irytuje obniżanie znaczenia niektórych faktów, ukrywanie pod sztucznym uśmiechem istotnej doniosłości zdarzeń. Książka drażni bezosobistym tonem, jakim mówi o sprawach osobistych. Drażni, ale zarazem pociąga. Ma czasami prawie formę rozmowy z czytelnikiem. Zasłona, za jaką w dziele kryje się pisarz, niekiedy uchyla się i Conrad prowadzi conferencierkę o faktach ze swego życia.

Ten ton raczej powieściowy, niż autobiograficzny ma swe źródło także w stosunku Conrada do przeszłości. Oto on sam żyje, jest ostatnim śladem na ziemi życia tych, którzy byli przed nim i którzy go wydali. Stąd we „Wspomnieniach" zjawia się starożytna intencja utrwalenia obrazu wywołanych cieni, zawarcia w słowie ostatniej postaci, w jakiej na ziemi żyją drodzy zmarli — uczucia wspominających, które — jak pisze Conrad — „zniknie wraz ze mną na zawsze z tego świata".

Tak, jak życie zmarłych oddala się coraz bardziej w milczenie, w zapomnienie, w przeszłość — tak samo odchodzi coraz dalej inne życie, towarzyszące Conradowi w jego wszystkich wyprawach. Życie rękopisu „Szaleństwa Almayera". Pierwsza książka przyszłego słynnego pisarza była pisana bez myśli o druku, rosła w ciągu czterech lat, rozdział po rozdziale, raczej słowami i zdaniami, niż stronicami. Jeździła z Conradem do Afryki, omal nie zginęła w wodach rzeki Kongo, przepadła — i znalazła się — na dworcu w Berlinie, leżała w kajucie okrętu stojącego w porcie Rouen, tłukła się po morzach południowych, a nawet przybyła na Ukrainę, żeby przez pewien czas spocząć w domu stryja, na biurku matki.

Dzięki temu szaremu blokowi, na którym Conrad zaczął pisać „Szaleństwo Almayera", do cieniów przeszłości przybywa jeszcze jeden — cień przeznaczenia. Jakże to się stało, że jestem pisarzem — ciągle pyta się Conrad. Szuka odpowiedzi wśród wspomnień i nie może znaleźć. Gotów przypuszczać, że to tkwiło w nim od początku, tak, jak jakaś podświadoma tęsknota do języka angielskiego, albo jak, ni stąd, ni zowąd, zjawiające się w chłopcu z Ukrainy pragnienie morza.

I tak jest. Na kartach Conrada wiele razy spotykamy słowo Wierność. „Szaleństwo Almayera", podobnie jak i później „Wspomnienia", powstało z wierności dla minionych zdarzeń. Jakże bez śladu może zaginąć ktoś tak niezwykły, jak Almayer? Wierność nie pozwala dopuścić do jego bez pamiętnej śmierci.

„Żaliłeś się zawsze—apostrofą zwraca się Conrad do Almayera— iż jesteś stracony dla świata, za-



pamiętaj więc, że gdybym nie uwierzył w ciebie tak silnie, gdybym ci nie pozwolił nawiedzać mych pokoi na Bessborough, byłbyś stokroć bardziej zapomniany. Sądzisz, że nie umiałem spojrzeć na ciebie z większą bezstronnością i prostotą, że nie dostrzegłem wyraźnej cudowności, która — jak twierdzisz — towarzyszyła twym losom na tym drobniutkim błyszczącym pyłku, gdzie leżą groby nas obu — pyłku ledwie widzialnym daleko, daleko pod nami".

Almayer rządzi wspomnieniami. Wszystkie epizody, opisy domu rodzinnego, pamięć o matce, pamięć o dzieciństwie, o walce o wyruszenie na morze, o przygodach wplata się między jeden, a drugi rozdział „Szaleństwa Almayera". Rozdziały rękopisu, a nie czas, dyktują chronologję wspomnień.

Do wspomnień Conrada przeznaczenie wkracza jeszcze innym nakazem, oprócz twórczości. Nakazem życia na morzu. Motywy: tragedja rodzinna, geneza twórczości i morze — przeplatają się nieustannie.

Na tle psychologicznych portretów ojca, matki, dziada i stryjecznego dziada Conrad ciągle obrazuje swoje dwa przełomy: został marynarzem i został pisarzem. Są to dwa życia. Jedno zdobyte świadomie, drugie — nadeszłe nieoczekiwanie, w ukrytej konsekwencji pierwszego.

„Nie pisałem nic prócz listów — mówi Conrad — a i tych niewiele. Nigdy w życiu nie notowałem żadnych wypadków, wrażeń czy anegdot. Pomysł uplanowanej książki był mi najzupełniej obcy, gdy zasiadłem do pisania; ambitne marzenie, aby się stać autorem nie pojawiło się nigdy wśród urojonych, pełnych wdzięku istnień, które chętnie sobie wyobrażamy wśród ciszy i bezruchu snu na jawie; a jednak jest jasne, jak słońce, że z chwilą, gdy napisałem pierwszą stronę „Szaleństwa Almayera" (zawierała około dwustu słów i ten stosunek słów do stronicy pozostał niezmieniony przez piętnaście lat mego literackiego życia), z chwilą gdy w prostocie ducha napisałem tę stronę ze zdumiewającym brakiem jakichkolwiek przeczuć, losy były rzucone. Nikt nie przekroczył Rubikonu z większą nieświadomością, bez wzywania bogów, bez lęku przed ludźmi".

Ten nieprzeczuwany, nieoceniony w chwili, gdy się dokonywał, przełom, ma swe źródło w zdarzeniu również przyjętem, jak rzecz błaha, choć było rozstrzygające.

We „Wspomnieniach" Conrad opisuje pierwsze spotkanie z Almayerem.

„Wyszedłem dopiero co, ziewając, ze swej kajuty. Serang wraz z malajską załogą oglądał uważnie łańcuchy do ładowania i próbował wind; głosy majtków dochodziły stłumiono zdołu, z pokładu, ruchy ich były powolne. Ten tropikalny świt przejmował chłodem. Podoficer, Malaj, który wszedł na mostek, aby wyjąć coś ze skrzyni, drżał wyraźnie. Lasy w górę i w dół rzeki, a także i na przeciwległym brzegu, wyglądały czarno i mokro; wilgoć kapała z osprzętu na mocno naciągnięty płócienny dach; ziewnąłem, otrząsając się z zimna i właśnie w środku tego ziewnięcia spostrzegłem Almayera. Szedł przez wypaloną trawę, mglista postać na tle mglistej bryły domu o wysokim dachu z trawy, niskiego domu z mat, bambusów i liści palmowych.

Wstąpił na pomost. Miał na sobie tylko szerokie spodnie z kretonu (w ogromne, żółte kwiaty na przykrem, błękitnem tle) i cienką, bawełnianą koszulę o krótkich rękawach. Ręce, gołe do łokcia, skrzyżował na piersiach. Czarna jego czupryna wyglądała jakby jej nie strzygł oddawna; jedno wijące się pasmo spadało na czoło. Słyszałem o nim w Singapurze; słyszałem o nim wczesnym rankiem i późno w nocy; słyszałem o nim przy śniadaniu i obiedzie; słyszałem o nim w miejscowości zwanej Pulo Laut od pewnego metysa, który podawał się za dyrektora kopalni węgla; słowa jego brzmiały bardzo kulturalnie i postępowo, póki mi nie oświadczył, że trzeba było zaprzestać pracy w owej kopalni, ponieważ jest nawiedzana przez szczególnie okrutne duchy. Słyszałem o Almayerze w miejscowości zwanej Dongola, na wyspie Celebes"...

Ażeby usłyszeć o Almayerze musiał przed laty doznać jeszcze jednego, jeszcze głębszego przełomu.

Conrad musiał zostać człowiekiem morza. We wspomnieniach notuje dorywczo fragmenty walki jaką stoczył z rodziną, patrzącą na młodego chłopaka, jak na nagle objawionego warjata. Po skończonym roku szkolnym, na wakacje wysłano go z młodym nauczycielem w podróż zagranicę, przyczem preceptor miał delikatną misję wyperswadowania wychowankowi szalonego kroku. I byłoby mu się może udało, gdyby nie pewne spotkanie w Alpach, koło tunelu św. Gotarda.

Conrad i opiekun odpoczywali w czasie wycieczki. „Nauczyciel mój — pisze Conrad — w dalszym ciągu dowodził: jakiejże nagrody dla ambicji, honoru, lub też sumienia mógłbyś się spodziewać u końca swych dni, po tak długiem życiu?" Minął ich turysta, stary Anglik, uparcie dążący w górę. Na widok jego wytrwałości Conrad poczuł się pewniejszy: „już się nie czułem zmiażdżony. Nasze oczy spotkały się i prawdziwe wzruszenie odmalowało się i w jego wzroku i w moim. Spór nagle się skończył. Nauczyciel mój wziął do ręki plecak i dźwignął się na nogi.

— Jesteś niepoprawny, beznadziejny Don Kichot! Ni mniej, ni więcej.

Byłem zdziwiony. Miałem wówczas dopiero lat piętnaście i nie wiedziałem, co on chce właściwie powiedzieć. Ale pochlebiło mi niejasno. Imię nieśmiertelnego rycerza padło w związku z mem szaleństwem.

Dzięki temu szaleństwu Conrad dostaje się do Marsylji, tam słyszy pierwsze słowa angielskie, wypowiedziane wprost do niego— zostaje to mu na całe życie, jako niezwykłe wspomnienie — tam widzi pierwszy angielski statek.

„Gdy oddalił się o jakie ćwierć mili, wywiesił flagę, zgodnie z portowemi przepisami dla przybywających i wyruszających statków. Ujrzałem nagle jej trzepot, żanim powiała z drzewca. Czerwona flaga! W przejrzystem, bezbarwnem powietrzu opływającem płowe i szare brzegi tego południowego kraju, sine wysepki, bladoniebieskie, szkliste morze pod bladoniebieskiem, szklistem niebem zimnego wschodu słońca, była to jak okiem sięgnąć jedyna plama o żywej barwie — płomienna, gorąca i wkrótce taka malutka, jak drobna czerwona iskierka, którą skupione odbicie wielkiego ogniska roznieca w przejrzystem sercu kryształowej kuli. Czerwona flaga — ten rozpostarty szeroko po morzach, symboliczny, opiekuńczy szmat płótna, który przez tyle lat miał mi być jedynym dachem nad głową".

Takto powiewem angielskiej flagi kończy się ta książka, na której kartach zbiegła się tradycja polskiej rodziny, tradycje wojen napoleońskich, dwóch powstań, zesłań na Sybir z podróżami po równiku kuli ziemskiej.



Dom w Stanford, hr. Kent, gdzie Conrad napisał „Lorda Jima", „Tajfun" i „Nostromo".

Adolf Nowaczyński

Laureat na złej drodze

POŻYTECZNE ZABIEGI

Poddanie na tem miejscu całego szeregu pisarzów starszej daty kuracyjnemu zabiegowi (Roentgenizacji) prześwietlania, poczem silnym natryskom zimnej wody i lodowatym okładom na głowy owawrzynione wpłynęło bardzo regeneracyjnie na ich samopoczucie, odebrało im nieco... zbyteczną ociężałość wytwarzającej wagi i **pomniejszonych** olbrzymów postawiło na właściwych miejscach; może wpłynie to teraz pobudliwie i ożywczo na ich ostatnio już całkiem zmachaną twórczość, produkującą wyłącznie skisłe zakalce i dzieła wprost już nie do strawienia. Kolejno choć nie wedle rangi wzywane były **ad audiendum verbum** rodzime tuzy i asy, aby po sumiennem badaniu wysłuchać mogły poważnej diagnozy, a następnie i wskazań, jakim to trybem jeszcze ratować mogą resztki pisarskich talentów i indywidualności.

Dzięki zjednoczonym wysiłkom krytyki narodowej, czyli krytyki grona pisarzów z obozu narodowego, w przeciągu zaledwie kilku lat zostały do właściwego poziomu sprowadzone (zredukowane), względnie obniżone sztucznie przez mafję i teror rozdymane i rozdęte wielkości, przeważnie alimentowane to przez rząd, to przez żydów, to przez żydów i rząd równocześnie.

W opinji i w świadomości inteligencji z r. 1934 wszyscy ci pisarze krytycznej kuracji „odtłuszczającej" poddani, już przesunęli się na właściwe miejsca. Gwiazdy zbyt do ostatnich czasów rozjarzone, świecą teraz normalnym blaskiem drugiej czy trzeciej konstelacji. Bez dłuższego namysłu nikt już w księgarniach nie da się skusić na nabycie „nowego" dzieła naszego tego a tego domowego Nieśmiertelnika. Już nie jest żadnem Tabu sympatyczny, ale monotonnie landrynowaty Staff. Zgasły jako narrator Sieroszewski egzystuje w opinji wyłącznie jako naganiacz dyktatury i okolicznościowy, imieninowy frak z orderami. Demonja Boya - Żeleńskiego ma „tętno" tak słabe, że je ledwie słychać. Dynamika małomieszczańska Kadena wyładowuje się już wyłącznie w agitacji, organizacji i komiwojażerstwie. Berenta wyszłego niebacznie z kościanej, samotniczej baszty, zdołał Kaden nietylko wyciągnąć na ośmieszenie — ale sprowokował rewizję wszystkich jego walorów literackich,— no i naraził na bezlitosną dekapitulację jako tłumacza Nietschego, przyczem wyjawiło się przygodnie, że poniechany i w kąt ciemny zepchnięty pisarz Pieńkowski, w jednym odręcznie rzuconym szkicu więcej wiedzy, znawstwa języka i Piękna wykazał, niż Berent w dziesięciu poronionych żywych kamieniach (Steinkind). Zmontowanie pośpieszne Akademji na jakiś czas dzięki **viribus unitis** (społem, panowie! kupą, kupą), wyratowało i sprolongowało żywot doczesny kilku wyaranżerowanych solistów i primadonn; odżyła i przypomniała się powojennej generacji nawet paczulowata a patetyczna Miriam. Czy atoli kadzidła, palone w prasie takiemu Towarzystwu Wzajemnych Ubezpieczeń (z nieograniczoną poręką) pomogą na dłużej zasychającym umarlakom i wyśpiewanym miernotom, w to można wątpić. Jako oryginalni pisarze dawno się wykończyli, teraz zaczynają się jako ekscelencje i to im już musi wystarczyć.

WYCINAĆ ZARAZĘ!

Udała kampanja przewartościowania starych i steranych wartości, **sanacja** przeprowadzona energicznie na Olimpie i na Parnasie z lekką egzekucją Staffa a ciężką Berenta nie uwalniają nas atoli od obowiązku skontrolowania, czy przypadkiem robak przedwczesnej manieryzacji nie lęgnie się w bujnym kwiecie i nowych młodych talentach. Tu bowiem przez staranne przystrzyżenie gałęzi można zapobiedz, aby drzewa nie zbyt chaotycznie, czy zbyt wysoko wysilenie się rozrosły. Tu można jeszcze przez zastosowanie surowej metody leczniczej ratować młode organizmy przed rozpanoszeniem się w nich jakichś przypadłości całkiem czasem przypadkowych, czasem niestety dziedzicznych. Nastręczają się tedy konieczności, że i w osobniku czy osobowości, uchodzącej dookoła za całkiem świeżą, zdrową i świetnie się zapowiadającą musi się zakaźny stan patologiczny stwierdzić i sprezentować, pocieszając rodzinę, czy parafję literacką, że z pacjenta może jeszcze być wielka pociecha, bo „konstytucja" silna i młoda...

CASUS RUSINEK

Tak się przedstawia na ten przykład casus: Rusinek Michał, autor „Człowieka z Bramy".

Jeżeliśmy dla odkłamania różnych poglądów w literaturze, dla odświeżenia zatęchłego kadzidłami powietrza pod kopułą, dość bezceremonjalnie dokonali odbronzowania na kredyt zabronzowanych impotentatów z poprzedniej generacji, to nie godzi się w rękawiczkach zbyt cienkich przeprowadzić przy koniecznej operacji wycięcia pewnych niepotrzebnych narostów czy nowotworów debiutanta, a również już laureata.

Nie znamy innych prób tego talentu. Znamy dzieło, dzięki któremu obdarzono go laurem, to jest powiastkę o Krakowiaku Orzeluchu. W powiastce tej widzimy udałą próbę odnowienia skrajnego neonaturalizmu czy neorealizmu, nawiązującą nici aż do pierwszych drastycznych jaskrawości nowelowych G. Zapolskiej, próbę pokrewną Unilowskiemu, zależną stylistycznie od takiego bądź co bądź majstra, jak Witkiewicz, ale i od takiego przepoconego machera pisarskiego, jak Kaden. Neonaturalizm to względnie neorealizm integralny! Rzecz prosta, że taka próba nie może być pisana językiem konwencjonalnym, czy choćby nawet... regjonalnym, toteż i opowieść o wybranym bohaterze „świata pracy", małomieszczańskim, względnie przedmiejskim **„udarniku"** (szturmowcu) Orzeluchu napisana jest w języku specyficznym, to jest w argocie tak zwanych „zuchów krowoderskich", czyli eufermów, czyli andrusów, względnie oleandrusów pewnego „miasta rodzinnego", ze względów niezrozumiałych wyraźnie nie zaznaczonego tak, jak swego czasu w gimnazjach galicyjskich historja polska nazywała się historją „kraju rodzinnego" dla... niepoznaki; czyżby Kraków ze swemi rarytasami tak się już znudził publice, że jako terenu akcji lepiej go nie nazywać po imieniu?

ZWIERZOCZŁOWIEK

Otóż ten język, ten **slang** podkrakowski, czyli krowoderski w utworze bardzo krótkim dawałby dużo emocji jeżeli nie artystycznej, to w każdym razie akustycznej. W opowiastce dłuższej nuży nieco, a miejscami działa nawet jako środek na womity. Na usprawiedliwienie autora **neonaturalisty** należy w pierwszym rzędzie przytoczyć i podnieść to, że opowieść o **takim** „bohaterze" nie może być pisana inaczej, jak tylko **takiem** narzeczem. Orzeluch. młodziutki syn stróżki (concierżki, dzisiaj „dozorca domowy") z Krakowa, jest to osobnik rozwojowo zatrzymany jeszcze w stadjum przejściowem łagodnego, domowego zwierzoczłowieka, czy zwierzaka, to jest człowieka, żyjącego jeszcze wyłącznie impulsami zoologicznemi. „Światopogląd" takiego udarnika, czyli człekozwierza zbliża się perspektywą swoją jeszcze mocno do perspektywy łakomego, żarłocznego karakona z Ka - ra - ko - no - wa.

Wyjątkowo uzdolniony autor nie stara się przez cały ciąg opowiastki ani razu podnieść swego szturmowca na wyższy poziom istoty myślącej nie li tylko zoologicznie. Wszystko odbywa się tutaj przez żołądek i dla żołądka. Żołądek, brzuch, kichy, bebechy, odgrywają rolę regulującą, dominującą. Bohater szturmowiec ma oczywiście i ręce, „widły rąk", raczej „graby", „pęczniejące w łokciach", „sprzęgnięte w niebieskich sznurach żylaków", mocne... „graby", któremi „rajbuje". Bohater ma oczywiście i nogi, czyli „gicole", „raciate", czy „graśliwe"...

Bohater mocarnik z Krakowa ma oczywiście i... gardło („od tej radości sklupił mu się w gardle gruby knedel"), ale znacznie ważniejsze obok silnych kopyt i mocnych racic przednich są przewody pokarmowe, żołądek i zęby, szczęki, żuchwy, któremi chce gryźć i gryzie wogóle wszystko. Laureat Rusinek całkiem szczerze mówi o swym bohaterze, że „Piotr wogóle **czuł jakgdyby żołądkiem**". Najlepszy na to dowód w tem, że ten zwierzoczłek omal całkiem identycznie reaguje i na „garnek" z gorącą kawą... i na... muzykę... **Łyk kawy:**

„Każdy z nich rżnął go boleśnie w grdykę, gryzł tępym kozikiem po twardej rurze przełyku aż w dół do samego brzucha, gdzie to wszystko rozlewało się dopiero w jakieś wielkie gorąco"...

Łyk muzyki:

„zdawało mu się, że wlewa mu się wprost przez uszy do żołądka i tam gdzieś wprawią w chaos czucie. Piotr wogóle czuł jakgdyby żołądkiem. Tam gdzieś w zwojach kich, gdzieś w żołądku czy wyżej nad żołądkiem burzył mu się spokojny porządek organizmu, tam gdzieś rodził się żar, nagły bulgot krwi czy czegoś nieznanego, a potem dopiero szybowało to wszystko aż do gardła i skroni... Wtedy rozlewała mu się trucizna po żyłach, jakby się schlał wielkiemi łykami mocnej wódy"...

SEDNO ŻOŁĄDKA

Tego żołądka, brzucha, kiszek, gardła jest na wszystkich stronach powieści pełno, może nawet zapełno... Bohater szturmowiec chce jeść, je, „cka", „gliwi", „ciupie", „dziamie", „miąska"... „trzepał" szczękami..., „chwyta się za brzuch i przyciska żołądek"..., „żołądek właził mu pod płuca, gniótł mu wnętrzności"..., „jedno czuł, że mu dobrze huśtało żołądek"..., ba nawet „zaciskał zęby w żołądku"...

Te dość pospolite funkcje żarcia, gryzienia, kąsania i t. p. rozrastają się do takich rozmiarów i takiej częstotliwości, że przeważają w metaforach i w „malarskich" przenośniach. Gryzą i kąsają już nietylko żarcie i nietylko zęby udarnika z Krakowa: „gryzły coś twardego paluchy przytłamszone", „zdawało jej się. że będzie kąsał tę krwawą gęstość świata"..., „połykając grube kawały powietrza, zamykające mu klapy w gardle"..., „tyrkot kół, gryzących szyny szczelina po szczelinie". I t. p.

W tych warunkach i przy takiem patrzeniu na świat z perspektywy gryzoniów nic dziwnego, że i... ulice miasta zmieniają się na... gardła... („Tłum siedział mocno w gardle ulicy wielkim, twardym korkiem" **sic: Korkiem**). I nic dziwnego, że serce ludzkie wydaje się zwierzoczłekowi kluchą („klucha serca w garści"). I nic dziwnego,, że znów dziewczę doznające na widok tego szturmowca z Krakowa pierwszych dreszczów miłosnych... „cieszyła się, że go boli żołądek"..., że „Marta traci kontrolę wszystkich zmysłów. Przecież w tej chwili czuć smród ludzkiego kału z kanałów, jak to bywa przed burzą"...

NEONATURALIZM

Jak więc widzimy z tych pierwszych próbek stylowych, jesteśmy spowrotem (po trzydziestu latach) w samym ośrodku konsekwentnego naturalizmu à la Zola, à la Zapolska i t. p. z pewnemi reminencjami z pierwszych nowel Żeremiasza i Reymonta, aczkolwiek dla decorum **derniere cri** będzie się cytowało filjacje z Braibantem, Malraux, z Joycem... Z naturalizmu staromodnego całkiem żywcem wzięte są charakterystyczne... „zmierzwienie", „kupa pomierzwionych betów"..., „gwar i śmiech mierzwił mu się"..., „po skołatanej głowie mierzwiły się nieustannie trud i praca". Z Reymonta:... „lunęło słońcem", „lunęło nawałnicą"... Muzyka... to „jakby pchły gryzły w szyję" (Zapolska). Z Żeromskiego: „twarz obwisła jak zmięta mecherzyna", „skurczyła się skóra w twarde krupki". Z tak zwanych „perełek" naturalistycznej gwary moc jest takich, które były lub mogły być u... Witkacego: tyrpać, tytłać, tarmosić, telepać, pelętać, miętolić, rozciapany, rozchlupywany, rozmamany, rozmamrany, hurgot i churgot... no i odpowiednie synchronizujące z takiem słownictwem metafory:

„trzepaczki żagli" i „trzepaczki telegraficznych słupów" („grzyby buforów"),

„miała oczy szeroko rozdęte uwagą" (choroba Basedowa?).

„Tam rżnęły go zręby ulic", tu znowu „kran ciurkał", „kurek siurkał", mały żydek ojcu „sikał w zupę", a ojciec to zjadał...

Tu „pociąg wpadł w czarną trumnę dworca i nakrył się osmalonem wiekiem", a tu znów „dom klupił się, cięgiem wlewał i przelewał progiem", podczas gdy bohater - udarnik „miał tę rozkosz pracy wygniecioną krwawym różańcem na kręgosłupie".

I t. p. i t. d.

Po takiej wiązance kwiatów i kwiatków naturalistycznych. przenośni, metafor, amplifikacyj stylowych i fioritur językowych nie można się dziwić ciekawości czytelnika kulminującej zapewne w pytajnikach: w czem rzecz i kto zacz wreszcie bohater?

GDYŃSKI CONQUISTADOR

Otóż „bohater" Michała Rusinka Piotr Orzeluch (podobne do Korzeluch) jedzie z „rodzimego miasta" do Gdyni „świętego niemal miasta" i tam mając nieco... forsy zakłada podrzędny zakład fotograficzny.

Tam w Gdyni zbija po kilku latach („harówki") większy zapas gotówki, z którym spokojnie wraca do „rodzimego miasta". Karakon - conquistador. Idzie, wywodzi się z mrowia tych, co to „prali się szorstko w ciżbę twardziną kolan" nowej warstwy. Dewizy „szorstkiego prania": „potom. żeby tam dojść" („arriver), „jemu chodziło o pieniądze", „trzeba mieć, jaknajprędzej dom"! taki sam dom kamienicę, nieruchomość realną, jaką mają **realni** burżuje (Gąsiorki, Hubki): „dom rzegotliwy".

Dochodzi do tego celu karakońskiemi metodami, jak inne groszoroby normalne, tym trybem, że wszystko w nim ciągle... „tężeje", „pęcznieje", „prężnieje", „narasta", „przyrasta", „nasiąka", to „soczystością", to rzeźkością narasta. Dzięki temu rozbyczeniu (Witkacy) Orzeluch wyszedłszy z bidy i bryndzy (krakowskiej) na obcym terenie (gdyńskim), łatwo zwycięża, jak zwycięża i... Józef Żołędź z rodzimego miasta w powieści Wandy Dobaczewskiej (Wilno). Zdobywcy Koryt.

PAŃSTWOWIEC

Wiary żadnej w nic Piotr Orzeluch z Krakowa nie ma ani śladu ani cienia. Chyba w „Kurjerka". Ani jednego przebłysku abstrakcyjnego we łbie dziecka z „małego Rzymu". O Bogu w książce ani razu. Zwierzak jest bez żadnej tradycji, bez żadnych obciążeń historycznych, a jeżeli jakie reminescencje, to z.., klozetów i wychodków. Dla przyrody obojętność stuprocentowa: polskie odzyskane morze jest „telepiące", skołtuniałe" i wydaje „postęk". W Gdańsku nie dostrzegł: nic, w Gdyni nie raczył zauważyć tubylców Kaszubów. Na Pomorze dalsze nie zajrzał (Zdobywcy Koryt)...

„Każda klątwa dodawała mu otuchy"... „Psiakrew ma zdolność rozpętywania serca"...

Państwowcem atoli rzetelnym ten mocarnik z narracji M. Rusinka już jest. O Łowczówku wspomina. Im należy się cała Polska i wszystkie posady (**A nous la propriété!**). W krytycznym momencie wygłasza mowę do tłumu szewców w obronie ...Warenhauzów i pralni mechanicznej przez krajana i w Gdyni instałowanej. Jest nieco rewolucyjny ale równocześnie i błagonadiożny a o policji wyraża się z rozczuleniem... (niebieskie ćwieki mocy... nasze prawo)... Przy każdej nadarzonej okazji ten twardy morowiec „całuje rączki".

No i jeszcze się nie przyzwyczaił do obiegowej monety polskiej: grosz, ale stale używa z uporem: „centów"... Po piętnastu latach niepodległości! jeszcze centusie!

Z tej racji nie jest zbyt sympatycznem zjawiskiem ten „nowy typ" powieści polskiej, jak zresztą i ten cały neonaturalizm nieco bebechowaty, nieco pomyjowaty, nieco **Karakonowski**.. nie przedstawia dużo uroku i czaru dla nas coprawda ludzi już starej daty.

I jeżeli Piotr do Marty mówi w pewnej chwili: „idź pani do jasnej cholery", to i my morituri dodajemy: z takimi laureatami.

Bronisław Komierowski

Na Helikonie

Na Helikonie ruch. Pożółkły marmur ław i stołów oczyszczono do gruntu. Na śnieżnej bieli ław zasiadło grono Kastalid. A żadnej nie braknie. Nawet Terpsychora, obecnie nad możność zajęta w swoim fachu, i ta musiała się jawić.

U czoła na wzniesieniu Apollo siadł czegoś chmurny. Tylko co rzucił lejce słonecznej kwadrygi, zapewne po całodziennym trudzie wolałby spocząć. Jednak nie można. I tak ostatniemi czasy Niebiańskie Grono zbierało się dość opieszale. Dziś jednak okazja niezwykła: posłuchanie wysłańców cechu Mistrzów Sztuki.

Czego chcą? Nikt nie wie. Niech wejdą, niech sami powiedzą. Apollo dał znak, więc wchodzą.

Idzie wprzodku Iktyniusz i Kalikrates, prowadząc godnie Fidjasza. Za nimi tuż Agamedes z Trofoniuszem i ateńczyk Praksyteles i macedończyk Dinokrates. Stanęli półkolem, nisko pochylili czoła w ukłonie, potem zastygli w bezruchu. A gdy Apollo zapytał: „Z czem przychodzicie?", odezwie się Fidjasz w te słowa:

— Wiadomo Tobie, jasny Febie, i Wam, Dostojne Niebianki, że Gromowładny, zanim rządy złożył, rozkazał cieniom naszym wrócić między śmiertelnych i po wsze czasy stać na straży piękna i radości. Na srebrny Twój łuk, boski Apollinie, myśmy ten nakaz spełnili! Przez długie lata, kto pragnął, u czystych źródeł Kastalji mógł gasić pragnienie. I naraz... Czy stary Chaos powrócił do rządów? Czy spór między bogami pomieszał rozum śmiertelnych?... Gasić pragnienie?!.. Ależ oni dzisiaj jedną troskę mają — jak pragnienie obudzić! Nie wiedzą, czego pragną, gdyż na rzecz nie spojrzą, póki się ta w nieznany kształt nie przystroi. I, szaleni, oni tworzą piękno! Przywtórzcie, Mistrzowie, myśmy piękna nie tworzyli. Samo się jawiło, kiedy wolę bogów oblekaliśmy w kamień. Więc dziś karą Danaid stało nam się boskie poselstwo... Pozwólcież zaznać nam spowrotem słodyczy Elizejskich Pól! Dajcie nam spocząć! Dajcie nam odejść!

Za plecami Fidjasza odezwał się zgodny chór Mistrzów:

— Dajcie nam spocząć! Dajcie nam odejść!

Poczem zapadło milczenie. Czyżby gorące wezwanie nie znalazło uznania?

U stóp Apollina zabrzękły złote struny liry, jakby trącone niecierpliwą ręką. Wzdłuż kamiennych ław pobiegł sszmer, niepomyślny dla mówcy. Głos zaszeptał: „A co z nami będzie?".

W tej chwili nad uchem Fidjasza pochylił się Kalikrates i jednocześnie do ręki wetknął mu zwitek papyrusów.

— Ach tak, rzekł Fidjasz. W mojej trosce zapomniałem, że mamy czem poprzeć nasz sąd. Tu oto odrysowaliśmy niektóre ich dzieła. Zechciejcie spojrzeć. To jest Orfeusz. Tak mi zaręczano i sam to widzę. Ta żaba, oczarowana głosem liry. Ta Furja Bachantek, zaklęta w nędzną drzewinę. Rozwarła paszczę nad głową nieszczęśnika, lada chwila ją porwie, by rzucić w fale Hebru... A on, w dal zapatrzony, zda się nie wiedzieć, co go czeka... Chciałoby się ostrzec, chciałoby się siłą stąd go uprowadzić. Patrzeć bezczynnie staje się udręką...

Tu przerwał Apollo:

— O Fidjaszu, potrzykroć dopełnił zadania, kto dziełem swojem wzruszył.

— Słusznieś osądził, Panie! Więc patrzmy dalej. Tu postawili żołnierza na czatach. Spogląda pilnie na Wschód. Widocznie ważne dali mu zlecenie. Dali mu także przystojne opatrzenie. Ale na Zeusa, Rodzica Twego, Panie! Te nogi... tak cienkie... czy zdzierżą?...

— Symbol, Fidjaszu, symbol! Gallus vigilans! Nie zrozumiałeś? Autor zapatrzył się na wzór czujności. Jakże go za to winić?

— Zaiste, słusznie oceniłeś, Panie! A tu oto jest Ikar.

— Poznaję. Postawa wyniosła, szerokie uderzenia dłuta, jak przystoi dla postaci, która za chwilę rozpłynie się w obłokach. Czegóż chcecie?

— Panie, spojrzyj z drugiej strony. Czemuż dłuto stało się wymowniejsze dla części, którą Ikar zwyczajnie okrywał chlamidą?

— Hm... może także symbol. Myśl artysty mknie chyżo, niezawsze można za nią wydążyć.

— I znowu słusznie rzekłeś, Panie. Więc oto jeszcze Gladjator. W setnych bojach pokonał przeciwników, a tu go boleść na wnątrzu skręciła we czworo. Ten człowiek cierpi... Czemuż jednak nie odniosą go do domu?

Apollo pochylił nad rysunkiem czoło, zaraz je podniósł i popadł w zadumę. Porzucony papyrus podjęły boginie. Co która spojrzy, wnet podaje dalej. Tak szybko obiegał papyrus dokoła i legł pośrodku.

Nikt nie przerwał milczenia, chyba Eol, co w pobliskiej dębinie uderzał po strunach.

Wtedy Fidjasz z lepszą otuchą począł mówić dalej:

— Nie będę czekał waszych słów, Niebianie. Milczenie mi wystarczy. Zaprawdę i ten ci tu autor potrzykroć dopełnił zadania — dziełem swojem nietylko ludzi, bogów nawet poruszył... Więc teraz sądźcie... Dawniej śmiertelni pracowali w glinie. Była nadzieja, że, poczekawszy, tę samą glinę będą lepić znowa. Ale dziś oni pracują w śpiżu i w kamieniu! Mamyż więc po wsze czasy zapytywać: Czemuż? i co to?...

Tu Apollo ocknął się z zadumy. Rzekł:

— Po wsze czasy?... O Fidjaszu!...

Jak Parthenon, świątynia siostry mej, Djany, mój chram w Delfach! W nich — choć kamień jeden, drugi się obruszy, ba, choć ziemia tylko zostanie i nad nią czyste niebo — duch żyje i żyć będzie zawsze. Ale te twory, co budzą wasze wątpliwości... Pył przydrożny będzie dla nich pyłem zapomnienia... Dać wam odejść? Przenigdy! Byłoby to uznać się zwyciężonym. Nie takie chyba są wasze chęci?... Chcecie odpocząć?.. Słusznie... Póki rozum śmiertelnych nie wróci do równowagi... Niech będzie na lat sto, na dwieście...

Głowy Mistrzów zakołysały się, głosy się ozwały:

— Mało!... Mało!...

— Powiedzmy pięćset...

A Clio, która cały czas pilnie przeglądała karty Dziejów Świata, zamknęła Księgę i rzekła:

— Tysiąc!

L. Całkosińska

W gościnie na angielskiej wyspie

„Gdyby mnie kto spytał, jakie mają Anglicy przesądy, trudnoby było mi odpowiedzieć. Nie wojna, nie „urodzenie", ani godności, ani powodzenie u kobiet, ani wreszcie marzenie o łasce ministrów: — poprostu chcą, by człowiek był człowiekiem, i cenią dwie tylko rzeczy: zasługę i bogactwo".

„Spotykam się w Londynie ze skargami cudzoziemców i Francuzów. Mówią, że nie mogą znaleźć przyjaciół i im dłużej tu są, tem mniej ich mają. Grzeczności ich przyjmuje się jak obelgi. Kinsky, Broglio, La Villette zapraszają lorda Essex'a wraz z synem do Paryża, udzielają wszystkim drobnych rad, pytają każdą panią o zdrowie i chcą, by Anglicy byli tacy sami, jak oni. Jakże Anglicy mogą lubić obcych, gdy nie lubią się między sobą? Dlaczego mają nas zapraszać na obiady — gdy nie czynią tego wśród swoich?

„Alcż odwiedzamy obce kraje poto, by nas tam lubiano i honorowano".

„To wcale nie jest konieczne! Trzeba postępować tak, jak oni. Żyć dla siebie, jak oni. Nikim się nie interesować. Nikogo nie lubić. Na nikogo nie liczyć. Ostatecznie, musimy przyjmować narody takiemi, jakie są. Gdy jestem we Francji, przyjaźnię się z wszystkimi, w Anglji z nikim. We Włoszech każdego komplementuję, — w Niemczech z każdym piję".

Któż to wypowiada tak śmiałe i sceptyczne sądy? Człowiek wielkiej miary: uczony arystokrata i erudyta. Jednem słowem baron Ch. de la Brède et Montesquieu, który po wspólnej wycieczce jachtem, odbytej z lordem Chesterfieldem, spędził lata 1729—30, w Anglji. W naszych czasach ignorancji (bez wstydu) i „speców", erudycja Montesquieu'go jest poprostu fantastyczna. Spójrzmy choćby na pierwszy tom „d'Oeuvres Complètes". Czego tam niema! Oprócz listów perskich — i słynnego „Ducha Praw" — rozprawy z dziedziny historji, religji, sztuki, psychologji, fizyki i przyrody, o zanurzaniu się ciał, o ciężarze ziemi, wreszcie nawet o funkcjonowaniu gruczołu nerkowego. Jak z tego widać, mieli podejmujący go w Londynie („brzydkiem mieście, mającem wiele pięknych szczegółów") Anglicy nielada okazję do podziwu, tembardziej, że dowcip i komplement nie były ostatnie... i w rzędzie talentów Montesquieu'ego. Zapalonemu w dyskusji przeciwnikowi, który za słuszność zdania „d a j e g ł o w ę" odpowiada: „Przyjmuję ją. Nic nie podtrzymuje tak przyjaźni, jak drobne podarki". A gdy królowa dziękuje gościowi za to, że w rozmowie z posłem francuskim wziął w obronę Anglję (poseł porównywał ją pogardliwie do Guienne) odwdzięcza się zręcznym komplementem: „Pani, kraj, którym Ty rządzisz, musi być w moich oczach wielkim".

Ta łatwość orjentacji i sarkazm wzmacniały jeszcze bardziej zmysł obserwacyjny, każący mu o wszystkiem (prawie, ustroju, obyczajach, zaletach i wadach polityki kolonizacyjnej) wypowiadać swe zdanie. Ale co nas frapuje, to nie tyle błyskotliwość i trafność uwag, ile zdumiewająca w s p ó ł c z e s n o ś ć ich. Jakże w zwierciadle historji przestrzeń dzieląca nas od 1729 r. jest znikoma.

„Pozawczoraj — notuje Montesquieu — byłem w Izbie Gmin. Omawiano sprawę Dunkierki. Nigdym nie widział podobnego podniecenia. Sesja trwała od 1-szej popoł. do 3-ej rano. Okropnie zmaltretowano Francuzów; teraz spostrzegłem, jak daleko zaszła ohydna zawiść obu narodów. P. Walpole opowiedział w związku z aferą Bolingbroka historję wieśniaka, który przechodząc z żoną pod drzewami, spostrzegł powieszonego. Człowiek jeszcze oddychał. Odwiązał go i zaniósł do domu Nazajutrz zobaczyli, że ukradł im widelec, wówczas rzekli: „Nie należy sprzeciwiać się wyrokom sądowym, odstawmy go tam, skąd wzięliśmy".

Czytając to, doznaję akurat takiego wrażenia, jak po przejrzeniu wczorajszych sprawozdań. Na przestrzeni 200 lat rozgrywa się ta sama scena, mająca za tło prawie że niezmienione dekoracje; z tą różnicą, że raz jest to sprawa Dunkierki, za drugim zaś Faszody, Egiptu czy kanału Suezkiego. Podobnie, jak 1730 r., tak i w 1830 parlament angielski protestuje przeciw metodom i maksymom hanowerskim. Cudzoziemiec notuje fakt, że szacunek okazywany królowi, nie idzie w parze z jego władzą. Francuz miesza nadal wiga z torysem, a lakonicznosć rządu angielskiego i niechęć do jakiejkolwiek interwencji na terenie Europy doprowadza go do rozpaczy. I gdy w 1730 r. Montesquieu ubolewa nad brakiem stałego programu ministrów angielskich i zarzuca im odwlekanie decyzji aż do ostatecznej chwili, Chateaubriand w 1822 r. pisze: „Zbadawszy istotę brytyjskiej Rady — stwierdzam, że zawsze skłonna decydować się w ostatnim momencie, odwleka konkluzję możliwie jak najdalej... i nie chce ryzykować, angażując się w obcych interesach". Rozmowa pomiędzy Clemenceau a Sir E. Greyem w 1870 r. potwierdza to w całej rozciągłości.

Jak zareaguje Anglja na wkroczenie Niemców do Belgji? — pyta Clemenceau — „Oh, to wywoła wielkie wzruszenie" — odpowiada Grey. „Niestety, ale to, czego Francja potrzebuje, to nie wzruszenie, lecz pomoc" — dodaje potem Clemenceau.

A w 1914 r. ambasador francuski w Londynie, P. Cambon, oczekując decyzji Anglji w sprawie wypowiedzenia wojny, może tylko pocieszyć się filozoficzną uwagą, że jego wielcy poprzednicy nie omylili się w osądzeniu charakteru dyplomacji angielskiej.

Zaiste, pomimo postępu, energji elektrycznej, liberalizmu i tak dalej, oblicze Anglji, oglądane w perspektywie wieków, nie ulega zmianie. I kto wie, czy w 2000 roku, jakiś p. Montesquieu, zaproszony przez lorda Chesterfielda na wspólną wycieczkę jachtem — nie powtórzy opinji swego protoplasty, składając tem samem hołd jednolitej i niezmiennej sile narodowego charakterów Anglików. W takich okolicznościach lektura monografji Maurois o Edwardzie VII*) miała dla mnie cechy weryfikacyjne i porównawcze. Ale tylko spoczątku! Już po paru stronicach — od wspaniałego opisu śmierci i pogrzebu królowej Wiktorji, zapomniałem o celu tej lektury. I to nie dlatego bym uległa ogólnej manji biograficznej. Bo że ta manja jest — trudno zaprzeczyć. Co za rozpiętość, począwszy od „Dziejów ostatniej kochanki", poprzez biografję wielkich awanturników, polityków, artystów, „żywoty imaginacyjne" Ludwiga, aż do tych najprzedniejszego gatunku, jakie daje nam w cyklu angielskim A. Maurois. Manja silnych i opatrznościowych ludzi ciąży w nieznośny sposób nad naszą epoką. Jakgdyby wiek XX, wysiliwszy się na tak indywidualne i władcze jednostki, jak Ford, Mussolini, Lenin czy Hitler, pozostawił nam właśnie tyle sił, ile potrzeba na to, by ulegać i podziwiać. Jakbyśmy w życiu innych szukali rewanżu i potwierdzenia możliwości, leżących w granicach sił ludzkich... Ale Maurois niema z tem nic wspólnego. Z nadzwyczajnym umiarem i talentem potrafił wydobyć z epoki wiktorjańskiej jej główne wartości i cechy; złączyć z życiem Europy życie Anglji; dzieje Edwarda z dziejami jego ojczyzny, dając ostatecznie wrażenie wielkiej potęgi i wartości Imperjum Brytyjskiego. I dla nas, których wielka wojna odcięła bez apelacyjnie od czasów wiktorjańskich — praca Maurois ma szczególną wartość informacyjną. Nazwiska ludzi, wyniesionych przez wojnę na widownię europejską w łączności z historją, nabierają wcale innego zabarwienia. Maurois wprowadza nas w warunki każdego z nich, w atmosferę, w jakiej kształtował każdy swe przekonania: tradycje, lub brak tradycji, łączy zręcznie z anegdotą, utrwala dzięki jakiemuś szczególnemu rysowi, a i przez kontrasty wywołuje ostateczną impresję. Te asocjacje dają bardzo ciekawy rezultat. Myśl o królu Edwardzie wywoła postać cesarza Wilhelma, imperjalizm Disraëlego, pacyfizm Gladstona; intrygi Bismarcka — pracę amb. Cambona nad doprowadzeniem do „l'Entente Cordiale"... Bo Maurois, będąc pisarzem wielkiej miary, jest skłonnościami predestynowany na polityka-dyplomatę. Temu może zawdzięczamy fakt (zresztą bardzo szczęśliwy), że niekiedy tylko stawia na wadze historycznej którąś z ukoronowanych postaci, pozwalając jej ostatecznie przechylić szalę decyzji. Sympatje francuskie króla Edwarda zaważą częściowo na sojuszu, tak jak zawiść jego siostrzeńca popchnie Wilhelma do utworzenia floty morskiej.

Że ta flota doprowadzi kiedyś do rywalizacji, a w rezultacie do wojny, zdają sobie z tego sprawę przedewszystkiem dyplomaci. „Byłaby to piękna dziura w morzu"—mówi Clemenceau, sugerując dobrodusznemu królowi Edwardowi zniszczenie niemieckiej potęgi morskiej. I właśnie dzięki takiemu postawieniu sprawy przez Maurois, mamy możność śledzić z rosnącem napięciem i zainteresowaniem idące niebezpieczeństwo. Im bardziej oddalamy się od szczęśliwej epoki wiktorjańskiej, tem bliżej jesteśmy (zgodnie z opinją, że: pokojowe umowy są zwiastunami wojny) światowej burzy.

Śmierć króla, który przez całe życie korzystał, wzorem swej matki, z trzech praw, będących raczej obowiązkiem: prawa do wiedzenia o wszystkiem, prawa przestrzegania i prawa podtrzymywania na duchu — zamyka ostatecznie epokę wiktorjańsko-edwardyjską — i na tem kończy się monografja A. Maurois.

*) Eduard VII et son temps. A. Maurois, Les Editions de France.

Alfred Jesionowski

Trochę lektury katolickiej

Przykro to stwierdzić i trudno zaprzeczyć, że znaczna ilość inteligencji katolickiej ogranicza swój katolicyzm do wysłuchania z nawyku mszy św. w niedzielę — a niezmiernie rzadko spotkać można postawę czynną inteligentnych katolików w dziedzinie pogłębienia swego katolicyzmu, w walce o katolickie ideały. Ilu abonentów liczy, doskonale redagowany, „Przegląd Powszechny" lub niedawno temu powstałe „Verbum"? Gdzie pełne powagi, rzeczowości spokojnej głosy, gdzie gruntownie uzasadnione wystąpienia inteligencji katolickiej przeciw akcji antykatolickiej przeciw pretensjom p. Skiwskiego, działalności prof. Ułaszyna i innych? Zalewie tu i ówdzie głos oburzenia i protestu — ale kogo przekona oburzenie czy protest? Gdzie znajomość wielkich współczesnych pisarzy katolickich? Ilu wykształconych katolików dba o pogłębienie swego katolicyzmu przez odpowiednią lekturę, gdzie echa walk i zmagań duchowych myślących katolików, echa, jakich dużo spotkać można w tej „bezbożnej" Francji! — U nas natomiast panoszy się wszechwładnie wygoda i lenistwo duchowe, tchórzostwo wobec ustawicznych ataków i podkopów ideałów katolickich — niema żadnej poważnej, na wielką skalę zakrojonej reakcji przeciw tym objawom. Czynna postawa katolicka — to w pierwszym rzędzie ugruntowanie swego katolicyzmu przez odpowiednią lekturę. Nie brak u nas sporo dobrych, mądrych i ciekawych prac z tej dziedziny. Ogromnie już rozeszło się wydawnictwo przekładów dzieł Ojców kościoła, tłumaczy się sporo znakomitych katolickich pisarzy, choć tłumaczenia te przeważnie wychodzą w wydawnictwach z katolicyzmem nic wspólnego nie mających. Posiadamy znakomite dzieła filozoficzne, estetyczne, pedagogiczne, pisane w duchu katolickim — ale czytują je zaledwie specjaliści.

Z czytającej inteligencji katolickiej polskiej mało kto nie zna modnych biografij wielkich ludzi: statystów, wodzów, uczonych, pisarzy, artystów. „Utworami" Ludwigów, Maurois'ów i t. p. interesowały się wszystkie nasze pisma literackie i zamieszczały obszerne recenzje — a polskie wydawnictwa tłumaczyły je na gwałt. Biografja, jako rodzaj literacki i naukowy, zawsze pociągała czytelnika, życie wielkich ludzi zawsze budziło zainteresowanie. Ludzie pragną krzepić się siłą, płynącą z obcego życia, szczególnie, jeśli ono z jakichkolwiek przyczyn zwróciło na siebie powszechną uwagę. To też biografje zawsze cieszyły się znaczną popularnością i poczytnością, przeszły z biegiem lat jako rodzaj literacki znaczną ewolucję: od prostych opisów życia do fascynującej vie romanice, od bezkrytycznego panegiryku do pełnej erudycji i aparatu krytycznego pracy naukowej o życiu i dziele wielkiego człowieka.

Inteligent polski, mianujący się katolikiem, czytał i „Lenina" i „Katarzynę" Ossendowskiego, czytał Mereżkowskiego, Ludwiga, Mauroisa i inne znakomitości świata pisarskiego, dzieła o rozmaitych wielkich ludziach — ale byłby często w ambarasie, gdyby go zapytano o biografję świętego, którego imię nosi. Św Wojciech? No, wiadomo!: trumna w Gnieźnie, ciało wykupione na wagę złota! Ale kto o tem wie, że ten święty piekło przechodził w swej ojczyźnie: w Czechach, kto o tem wie, jaka to była tęga głowa polityczna, jakie walki duchowe przeszedł, nim przez Polskę przeszedł do Prus. O każdym świętym wiadomo parę anegdotek, jakąś legendę — ale jakie było duchowe oblicze tej postaci, na czem polega jego znaczenie, wielkość, ludzkość — daremnie pytasz. Co prawda — w tym wypadku wina nie jest wyłącznie po stronie przeciętnego inteligenta, który w najlepszym wypadku zna tylko popularne wydania i opracowania hagjografji katolickiej, a w nich znajduje tylko legendę i anegdotę. Oryginalnych prac polskich o większości Świętych Pańskich nie ma — a te, które są — są często tak mało ciekawie opracowane, tak przeładowane drobiazgami, że niema się wielkiej ochoty na czytanie takich prac. A przecież życie świętych kościoła katolickiego, „heroiczne postacie tylu przeróżnych, jakże odmiennych epoką, wiekiem, nauką, zawodem, temperamentem świętych", to kopalnia przeróżnych wiadomości z wszystkich dziedzin na przestrzeni całej ery chrześcijańskiej, to arsenał przeróżnych refleksyj, to krynica pokrzepienia dla duszy, to najpełniejszy obraz duszy ludzkiej, świat przygód, podróży, to często odpowiedź na dręczące pytanie. Lektura dobrze napisanych żywotów świętych — to ucieczka w głąb własnej duszy, to ciche rekolekcje, to chwila skupienia wewnętrznego, to zew potężny do wytrwania przy ideałach katolicyzmu, do obrony tych ideałów, do pogłębienia własnego życia duchowego.

Taki rodzaj wydawnictw hagjograficznych, zwięzłych, krytycznych, poważnie i naukowo ujętych. biografje świętych, obrazujących całe ich życie — z naciskiem głównym „na wewnętrzne przeżycia i walki duchowe świętych bohaterów chrześcijaństwa, cudy i legendy usuwające na plan dalszy" wypuściła świeżo Księgarnia Świętego Wojciecha w Poznaniu*). Wydawnictwo to warte jest poznania. Małe, estetycznie wydane tomiki w cenie 30 gr. każdy tomik, opracowane są przez znanych autorów i autorki. Dość wymienić, że żywoty św. Augustyna i św. Błażeja opracował dr. J. Birkenmajer, żywot św. Wojciecha i św. Stanisława Kostki dr. Wanda Brzeska, cały szereg żywotów ukazał się w opracowaniu Sz. Jeleńskiego, inne pióra Szymańskiego, Polanowskiego, Pachnickiego, Szollowej, Suchodolskiej i innych. Do najlepszych opracowań, głębokich, ciekawych i oryginalnych należą przedewszystkiem opracowania Birkenmajera, Brzeskiej, Jeleńskiego, Szymańskiego, Suchodolskiej, uwypuklające właśnie oblicze duchowe świętych. Autor każdego tomiku miał zadanie niezmiernie trudne; zmieścić na niewielu kartkach nietylko zewnętrzny opis życia i przejść — ale szczególnie uwydatnić życie duszy, podkreślić znaczenie świętego dla kościoła i wierzących. Żywoty, jakkolwiek bynajmniej nie są popularne w pospolitem tego słowa znaczeniu — to nie są one także rozprawami niezrozumiałemi dla przeciętnego czytelnika dorosłego o pewnej kulturze. W każdym razie — ten typ wydawnictwa żywotów świętych — wypełnia dotkliwą lukę w naszem piśmiennictwie religijnem, zarówno przez swe staranne i sumienne opracowanie — jak i przez estetyczną szatę i taniość Tomiki te znaleźć się powinny w każdym domu inteligencji katolickiej.

Pragnąłbym przy tej sposobności zwrócić uwagę na prześliczny zbiorek żywotów świętych dla młodzieży p. t. Godzina Anielska pióra Niemki Zofji Eltz w tłumaczeniu bardzo starannem i wiernem L. Schechtlówny. „Żywoty" te daleko odbiegają od szablonu dotychczasowego, powiedzmy nawet, nie mają nic wspólnego z szablonem, określają przedewszystkiem „ludzkość" świętych, ich mozolną drogę do doskonałości i świętości. Opisy są barwne, żywe, pełne poetyckiego polotu — chwytające bezpośrednio za serce. Książeczka nie droga (3.50 zł.), wydana pięknie, ozdobiona mnóstwem rysunków sylwetkowych o wysokim poziomie artystycznym, odznaczająca się pozatem i tą rzadką zaletą, że nie moralizuje, nie nuży tonem dydaktycznym — a przeciwnie, każdy „żywot", to tryskające życiem opowiadanie.

Na końcu — uwaga pod adresem wydawnictwa. Księgarnia Św. Wojciecha dość niefortunnie wybiera chwilę wydawania. Doskonałe wydawnictwa powieściowe dla młodzieży wypuszczone na rynek w okresie gwiazdkowym — dostały się do rąk recenzenta — gdy recenzja była już niemal musztardą po obiedzie, to jest zaledwie na parę dni przed Gwiazdką. Świeżo wydane Żywoty Świętych powinny były znaleźć się w rękach czytelników z początkiem Wielkiego Postu — a nie na końcu. Dlaczego — nie potrzeba tłumaczyć.

*) Postacie Świętych. Tomik 1—27. (Św. Józef, św. Jan Chrz., św. Helena, św. Błażej, św Idzi, św. Bernard, św. Marcin, św. Augustyn, św. Benedykt, św. Stanisław Biskup, św. Jadwiga, św. Jacek, św. Ludwik, św. Bronisława, św. Jelenta, św. Katarzyna, św. Jan Kanty, św. Jan Kazimierz, św. Stan. Kostka i inni.

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

DEIKE ST.: Pakowanie jabłek do skrzyń wg. metody amerykańskiej z 10 rys. 8°. Str. 16. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff.

FISCHER AD.: Etnografja słowiańska z. 3-ci Polacy z 59 ilustr. i 1 mapą. 8°. Str. od 121 — 256. Lwów, 1934. Książnica Atlas.

LEWISOHN L.: Sprawa Herberta Crampa. Powieść. Przełożyła E. Przysuska. 8°. Str. 367. Warszawa, 1934. J. Przeworski.

Materjały do historji Towarzystwa Filomatów wydała Stanisława Pietraszkiewiczówna, t. III. 8°. IV. Str. 579. Kraków, 1934. Skł. Gebethner i Wolff.

MIŁOWIT ZUBRZA J.: Więź światów. Poezje. 8°. Str. 103. Kraków, 1934. Skł. Gebethner i Wolff.

OSTROWSKI W. J.: Wyobraźnia ejdetyczna Stanisława Wyspiańskiego. 8°. Str. 93. Poznań, 1934. Dom Książki Polskiej

PATKANIOWSKI M.: Krakowska Rada Miejska w średnich wiekach. 8°. Str. 159. Kraków, 1934. Skł. Gebethner i Wolff.

PIEKARSKI K.: Bibljografja dzieł Jana Kochanowskiego, wiek XVI. XVII. Wyd 2 rozszerzone z XVIII tabl. 8°. XLII. Str. 82. Kraków, 1934. Gebethner i Wolff.

Pod prąd. Tom. I. 8°. Str. 141. Warszawa, 1934. Dom Książki Polskiej.

RAPPAPORT E. I. prof.: Przyszły kodeks karny Trzeciej Rzeszy niemieckiej. Wskazania podstawowe prawa karnego hitlerowskiego. 8°. Str. 24. Warszawa, 1934. F. Hösick.

Rocznik Polskiej Akademji Umiejętności. Rok 1932/3. 8°. LXVII. Str. 171. Kraków, 1934. Skł. Gebethner i Wolff.

ROMANOWICZÓWNA Z.: Tadeusz Romanowicz — Listy i wspomnienia. 8°. VI. Str. 104. Lwów, 1934. Książnica - Atlas.

ROWID H.: Jednostka a społeczeństwo w wychowaniu współczesnem na tle koncepcji osobowości w Chowannie Trentowskiego. 8°. Kraków, 1934. Gebethner i Wolff.

SALONI J.: Jak uczyć z czytanek „W Lipkach". Przewodnik metodyczny. 8°. Str 156. Lwów, 1934. Zakład Narodowy im. Ossolińskich.

SERUGA J.: Jan Haller. Wydawca i drukarz krakowski 1467 — 1525. 4°. Str. 123. Kraków, 1933. Skł. Gebethner i Wolff.

Ustawa z d. 28.III.1933. O ubezpieczeniu społecznem. 8°. Str. 178. Lwów, 1934. M. Bodek.

WAGA T. dr.: Pomorze w czasach przedhistorycznych z 44 rys. 8°. VII. Str. 134. Toruń, 1934. Dom Książki Polskiej.

ZABAWSKI WŁ.: Droga do ziemi obiecanej. Ruch narodowy na Śląsku Cieszyńskim i udział w nim ewangelików (1848 — 1920). 8°. Str. 328. Cieszyn, 1934. Nowe Kresy.

ZANIEWICKI Z.: Ślady. Poezje. 8°. Str. 60. Warszawa, 1934. Dom Książki Polskiej.

Z zagadnień kulturalno - literackich Wschodu i Zachodu. 8°. XLVII. Str. 358. Kraków. 19333/4 Gebethner i Wolff.

L. Ciechanowiecka

Sztuka i szczęście

Rozmowa z art. malarką Ireną Pokrzywnicką

Paryżanka powiada — modne jest to, co ja noszę. Warszawianka zapytuje z trwogą: Czy aby to jest noszone? Chodzi jej tylko o to, by upodobnić się do wszystkich. Tamtej zależy na tem, by stworzyć własny genre.

Artystka malarka, Pokrzywnicka, patrzy na jedne i drugie z własnego Parnasu, patrzy z życzliwym uśmieszkiem, niepozbawionym szczypty ironji, bo jej malarskie oczy nienawidzą wszystkiego, co trąci konwenansem i seryjnością. Mogłaby stworzyć „armję zbawienia", która zajęłaby się nawracaniem kobiet na religję piękna. Bo Pokrzywnicka ma swoje oryginalne credo artystyczne, które dałoby się streścić w jednem zdaniu: Najszpetniejszy kopciuszek może być piękny, najbardziej ponure mieszkanie może być przyjemne. Tylko nauczmy się patrzeć i widzieć piękno, które ukrywamy pod korcem, a które tkwi w nas samych i w tem wszystkiem, co nas otacza.

Gdyby Pokrzywnicka była ministrem kultu piękności, dokonałaby bezkrwawej rewolucji. Zrewolucjonizowałaby modę ubierania się i mieszkania, i zarazby się okazało, że co druga warszawianka jest ósmym cudem świata, że każde warszawskie mieszkanie, z widokiem na podwórko i ciemnym, jak sumienie lichwiarza, „stołowym", może zamienić się w przybytek z bajki. Przykładem może służyć jej własne mieszkanie.

Na szczycie banalnej kamienicy, w ponurym wąwozie Marszałkowskiej, będącej syntezą wszelakiej brzydoty, na którem tam piętrze stworzyła sobie uroczą pustelnię, w której żyje się, jak w poetycznej stratosferze. Pierwsze wrażenie — komnata gotyckiego zamczyska, niebotycznie wysoka i przestrzenna. Lekki zapach kadzidła — w zielonkawej poświacie antyczne meble żyją w zgodzie z lekkiemi nowoczesnemi sprzętami. Brzuchata, czarna gdańska szafa nie gniewa się na zabawnego intruza — niski kwadratowy stolik z chińskiej laki, dźwigający ogromną pomarańczową lampę, podobną do kwadratowego księżyca. Ciężkie barokowe lustra w złotych ramach patrzą tępym wzrokiem (mają bielmo na oczach) na lotne, mieniące się mołytemi barwami damy, uwięzione w otoku srebrnych ram (pinxit Pokrzywnicka). Na ścianach lśnią się złociste ornaty, zasłony, poczerniałe od starości ikony i żywe w kolorycie porcelany. Czarny, żelazny piecyk w stylu Landru. Na tajemniczem biurku, pełnem skrytek i szuflad maskowanych lusterkami, króluje relikwiarz, w kształcie trumienki. W takim relikwiarzu lekkomyślne markizy przechowywały serca kochanków. Wśród kolorowych imaginacyjnych portretów dam — podobizna mussetowskiego pradziadka i kilku sarmackich antenatów. W drugiej komnacie, tonącej w liljowym mroku, połysku ją machonie, mętne, srebrne tafle starych luster...

Dziwna jest ta Warszawa. Skarżą się snoby, że nie ma w niej nic ciekawego, a tu wystarczy trochę poszperać, aby znaleźć w najbanalniejszej kamienicy fantastycznie piękną pustelnię, w której nawet.. straszy. Ale zuchwała malarka kpi sobie ze strachów. Może nocną porą relikwiarzyk spowiada się gdańskiej szafie i nowemu stolikowi, co jeszcze nie ma wspomnień...

— Stylowe meble mają swoją historję — powiada Pokrzywnicka — na tem polega ich urok. Pobudzają do marzenia. Mieszkanie zapełnione tylko nowoczesnemi sprzętami jest bezduszne. Należy kojarzyć antyki z modernizmem. To się da zrobić, to nawet daje doskonałe rezultaty.

Odwiedziłam Pokrzywnicką, bo mnie zaciekawiły pomysły kostjumów, jakie wykonała dla pantominy „Sinobrody". Okazuje się, że obecnie powstaje w Warszawie jakby szkoła ubierania się, gdzie się będzie stwarzać polską modę, opartą, oczywiście, na kanonach zachodnich, jako że Paryż (niech mówią, co chcą), zostanie zawsze szkołą dobrego smaku i prawdziwej elegancji. Malarka portrecistka nie uważa sobie za ujmę rysować modeli sukien, albo obmyślać mieszkania. Sztuka powinna jednak „schodzić między ludzi". Uczenica Krzyżanowskiego przedzierzgnęła się tedy w nadworną rysowniczkę firmy Lanvin w Paryżu, co nie przeszkadza, że jest portrecistką. A może właśnie dlatego — bo, studjując kobietę, chciałaby ją przekonać, że może być piękna nietylko na płótnie, ale i w życiu codziennem.

— Trudno określić dlaczego portret daje atmosferę opowieści na temat danej osoby — powiada p. Pokrzywnicka — ale tak jest. Portret pobudza imaginację, każe się domyślać tego, co tkwi pod powłoką cielesną w duszy człowieka.

Patrzę na obraz, zaczęty na sztaludze — wyrafinowana wężogiętka pani, znana mi z widzenia,



Autoportret Ireny Pokrzywnickiej

nabrała szczególnego wyrazu, jest niepokojąca, nieco wysublimowana.

— Ona jest tutaj taka, jaka powinna być — powiada, śmiejąc się rudowłosa malarka. Na jej bladej twarzy błąka się dowcipny uśmiech. Kogo to mi ona przypomina z tym prowokacyjnym profilem i nieco zmrużonemi oczami — aha — młodą Yvette Guilbert — zdawałoby się, że się przygląda życiu i ludziom z zaciekawieniem, niepozbawionem ironji. Jest niesłychanie czujna i bystra. Zajmują ją nietylko skojarzenia barw, ale także gra świateł i cieni w duszach.

Każda kobieta, jej zdaniem, może być i powinna być interesująca. Każda kobieta, nawet taka, którą najdroższe przyjaciółki nazywają kochaną brzydulką, albo i gorszemi słowami — może przy dobrych chęciach odnaleźć swój typ i podobać się narówni z tamtemi, które dostały od losu rysy kamei greckiej. Dzisiaj nie piękność klasyczna, ale genre, linja estetyczna, całość i wyraz — są cenione. Ludzie się zrobili wymagający. Już im nie wystarcza klasyczny profil, o ile reszta jest bezkształtna, a nogi barokowe. Kino ukazało nam takie niesamowicie urocze kobiety, że się byle rzeźnik zaczyna orjentować w fotogenicznych kobietach. Marlena Dietrich byłaby gruźliczną berlińską Gretchen, pospolitą pończoszarką czy midinetką, gdyby nie odnalazła swego typu. Greta Garbo jest właściwie brzydką, ma szerokie usta, zgarbione plecy, długie ręce, a jednak...

— Patrzę na ludzi tak, jakbym czytała interesującą książkę — mówi Pokrzywnicka. — W każdym człowieku jest to coś, co go odróżnia od drugiego i co jest jego — urodą. Naogół ludzie są znacznie ciekawsi, niż ich opinja (wytworzona przez znajomych i przyjaciół). Portret zresztą, poza podobieństwem i wyrazem, musi mieć wartości dekoracyjne. Powinien stanowić harmonijną plamę we wnętrzu pokoju. Dziś już i u nas sztuka dekorowania wnętrz znajduje coraz szersze zastosowanie. Dotychczas urządzałam mieszkania tylko dla cudzoziemców, są oni bowiem przyzwyczajeni do tego, że zagranicą nic bez malarza nie poczynają w swoim domu. Obecnie zgłaszają się już i rodacy z prośbą o radę, na temat koloru ścian, zasłon, doboru mebli itd. Na Zachodzie zarówno jednopokojowe mieszkanie, jak i luksusowe wille urządzane są pod kierunkiem specjalistów malarzy, którzy nie wahają się schodzić z Parnasu, by uczyć ludzi. Ba — nawet zamawia się portrety zharmonizowane z wnętrzem. Powoli wyzwalamy się z brzydoty, która zaciążyła nad światem w końcu ubiegłego stulecia. Trzeba wreszcie się uwolnić od naleciałości berlińskiej secesji i rodzimej dulszczyzny.

— A jak się pani wogóle zapatruje na sztukę nowoczesną?

— Jeśli chodzi o malarstwo, to mojem zdaniem znajduje się ono w fazie eksperymentalnej. Jest raczej przygotowywaniem do nowej formy w Sztuce. Wzmożone tempo życia i walki o byt, zmusza do rozdrabniania jej na monetę dostępną dla ogółu. Dlatego dzisiaj tak mało jest dzieł monumentalnych. Praca współczesnych artystów ma wysoki poziom, ale małe — zamierzenia. Żyje się jeszcze ze skromnem hasłem, „aby na dziś". Tworzy się raczej „stylik epoki", a nie STYL.

— Zato w polityce...

— Ach! Polityka!... Nie znoszę jej, bo zbyt bliska wojny. Gdyby zamiast gazów trujących wynaleziono gaz ogólnego braterstwa, a na miejsce każdej armaty wyrastało drzewo brzoskwiniowe — to owszem, polityka byłaby szczęściem narodów.

— Ale zato sztuka dekoracyjna święci triumfy. Niech się naprzykład kobiety nauczą być takie ładne, jak te damy z pani imaginacyjnych portretów — wtedy będzie znacznie więcej szczęśliwych kobiet.

— Spewnością, że elegancja, estetyczny sposób ubierania się jest jednym z warunków szczęścia. Moda nie jest to błaha rzecz, To nie jest tylko sprawa krawców i szwaczek, ale poważne artystyczno - ekonomiczne zagadnienie. Pomijając to, iż w dobie kryzysu znakomitym środkiem na brak gotówki, gnębiący malarzy, jest zaprzągnięcie się do rydwanu sztuki dekoracyjnej, ale przecież chodzi również o to, by piękno przestało być artykułem zbytku i zaczęło być codzienną potrzebą. W pięknem otoczeniu myśli się... piękniej, kobieta świadoma swej urody ma więcej szans, niż zgaszona, zrezygnowana „brzydulka", której się zdaje, że się nic z niej nie da zrobić".

— Zaraz — zaraz — pani taka niezależna, odważna, trochę nawet wojownicza — musi mi coś powiedzieć, o emancypacji kobiet.

Rudowłosa dama zapala papierosa i zwinąwszy się kocim ruchem na niskim tapczanie odpowiada parsknięciem śmiechem.

Patrzę na nią zdziwiona.

—Feminizm? Wyzwolenie kobiety? Walka o byt dla siebie i dziecka? Nie — to nie jest szczęście, to jest tylko smutna konieczność dnia dzisiejszego, idąca wbrew naturze kobiety.

Słuchajcie... słuchajcie. Tak rzekła kobieta wyzwolona, dwukrotna rozwódka (pisała o tem w wywiadach), dyktatorka mody.

— Kobieta nigdy nie dorówna mężczyźnie w jego logicznej prostocie i celowości, a w walce o byt zatraca największy dar — intuicję miłości, to jest to, co łączy mężczyznę za pośrednictwem kobiety z wiecznością. Wyzwolenie kobiety? Nie — szczerze mówiąc — to mi zgoła nie odpowiada. Skoro urodziłam się, jako kobieta, chcę nią być w całem tego słowa znaczeniu. Dopełnieniem kobiety jest mężczyzna — uniezależnienie się od niego to tylko smutna konieczność, ale nie cel sam w sobie. Celem była, jest i będzie legendarna, a wyśmiewana harmonja dusz i zmysłów. Istotnym celem kobiety jest małżeństwo. Wszystkie inne kombinacje wyzwoleniowe, wszelkie swobody seksualne to ryzykowna blaga. Romans przestaje być modny. Kiedyś w okresie zbytku i nudy — był czemś zabawnem, ale dzisiaj, gdy się walczy we dwoje o dach nad głową, romans jest pretensjonalnym cocktailem, po którym zostaje niesmak.

— Ależ nie każda kobieta ma ochotę wiązać się na całe życie z panem, który ją może śmiertelnie znudzić po roku współżycia.

— Bo dzisiejsza kobieta nie ufa mężczyźnie, a w każdym razie nie na tyle, żeby ryzykować zakładanie własnego domu. Kobieta dzisiejsza lekceważy mężczyznę, bo się biedakowi trochę zdegenerował charakter. Małżeństwo powinno być wyspą radosną na oceanie walki o byt, a nie miejscem, gdzie mężczyzna przychodzi, aby się ogolić, zmienić ubranie i zrobić ni stąd ni zowąd awanturę o spinkę. Wyspy radosne to przyszłość — to musi przyjść razem z kulturą uczucia i nowej formy życia. Jesteśmy w przededniu neoromantyzmu, opartego na fundamencie zdrowej logiki.

— W każdym razie pierwszy krok już zrobiony.

— ?. ?.

— Pani przygotowuje czarujące mieszkania na wyspach szczęścia, a kobiety uczy pani, co czynić, by były godne miłości...



„LATO"
Projekt dekoracyjny Ireny Pokrzywnickiej.



„JESIEŃ"
Projekt dekoracyjny Ireny Pokrzywnickiej.